

Mistrz międzyludzkiego swingu

Na pożegnanie Witolda

18 sierpnia 2016 r.

Myślę, że od ponad tygodnia nie jestem sam, gdy próbuję zadawać sobie pytanie o to, na czym polegał idiom osobowości Witolda, co sprawiało, że jest tak wielu z nas drogi i tak trudno pogodzić się z jego odejściem, chociaż przecież wierzymy, że oddajemy go w najlepsze ręce... Oczywiście, to nam jego osoby nie wróci, może jednak pomóc być wdzięcznym za to, co nam się przydarzyło.



Sedno odpowiedzi na pytanie, dlaczego był dla nas *tak bardzo* darem, wiąże się z przestrzenią w relacjach międzyludzkich, którą stwarzał. Nie wiem, czy potrafię to zjawisko dobrze nazwać, ale gdy o tym rozmyślałem, przyszła mi do głowy – jak to często w moim wypadku bywa – metafora muzyczna. Na pewno wiemy wszyscy, co to jest jazzowy swing. To taki drobny zabieg rytmiczny, minimalne przesunięcie w artykułowaniu rytmu, które sprawia, że nagle wszystko niby pozostaje na swoim miejscu i takie samo, ale jednak nie jest już takie samo, zyskuje jakiś dodatkowy wymiar, który daje ciepło, pozbawia graną muzykę banału i sztywności, niesie życie.

Witold był moim zdaniem mistrzem takiego międzyludzkiego i duszpasterskiego swingu. Jego humor, ale też naturalność, bezpretensjonalność, normalność, sprawiały, że w jego obecności po prostu chciało się być, jego obecność wyzwaliała (często za pośrednictwem uśmiechu jak z obrazu Mony Lizy) dobry, Boży rodzaj dystansu do omawianych, załatwianych spraw. Czasem zresztą bardzo poważnych. Witold ich powagi nie relatywizował, ale swoją postawą mówił, że to wszystko, czym się zajmujemy, nie jest ostateczną rzeczywistością, że w każdym spotkaniu chodzi o coś więcej.

Czym było to „coś więcej”?

Tym czymś więcej była przyjaźń. Witold nie tyle „ogarniał duszpasterską troską” tych, którzy jej potrzebowali, czy też „oddawał się posługiwaniu”, co raczej po prostu spotykał ludzi – ludzi, których był ciekaw, których traktował po partnersku, jako potencjalnych przyjaciół. Tak było od samego początku – od czasu, gdy go poznałem, gdy chodził jako brat-student wiernie, co niedzielę, do domu „pogodnej starości” na krakowskim Prokocimiu. On tam nie „ogarniał duszpasterską troską”, on tam odwiedzał dobrych znajomych, z których wielu z czasem stawało się jego przyjaciółmi.

Nakreślony przeze mnie obraz byłby jednak w sposób istotny niepełny, gdybym zaraz nie dodał: Witoldowy duszpasterski swing i gotowość budowania więzi miały swoją podstawę w wierze. Witold – miałbym ochotę powiedzieć – *oddychał* przekonaniem, że to, co najgłębiej ludzkie, nie jest czymś wyłącznie ludzkim, że prowadzi nas ono do tego, co boskie, czy też inaczej: że to, co prawdziwie i najgłębiej ludzkie zawsze jest opromienione tym, co Boże, i musi nas do tego prędzej czy później doprowadzić. To dlatego w wielu sytuacjach był tak otwarty, wsłuchany w to, co ludzkie. Nie był i nie chciał być niewolnikiem normy.

Będzie nam bardzo brakowało swingu Witolda i jego przyjaźni... Ale przecież trudno nie zauważyć, że Witold zszedł ze swojego posterunku w 800-lecie Zakonu, na początku nowenny do św. Jacka, tuż po uroczystości św. Dominika. W momencie godnym największych. Dominik obiecywał braciom, że będzie im pomocny jeszcze bardziej po śmierci niż za życia i – sądząc po tym, co widzimy – dotrzymał słowa.

Witoldzie, Ty nam nie zdążyłeś tego obiecać, ale przecież obiecałeś to swoim życiem. Mam ochotę więc chwycić Cię za słowo tej niewypowiedzianej wprost obietnicy. Nie zapominaj o nas teraz, gdy już – jak mamy nadzieję i o co się będziemy modlić – cieszysz się pełnią boskiego życia. Sporo spraw zostało tu jeszcze do załatwienia, a wszyscy bardzo liczyliśmy na Ciebie...

Michał Paluch OP